

drodze do Pratulino, można się spotkać z królową ostatecznych przestrahów, jak Pismo św. mówi.

Niech cię tylko, droga moja, ten mały wypadek niespokojności nie nabawi, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, uczą ostrożności. A wreszcie, to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to jakby jaki dług zapłacony nieprzewidywalnym wypadkom; nie troszcz się o mnie, droga, bo mi wystarczy jak się spodziewam do końca roku z tem co mam, spodziewam się, że rachunki moje dobrze także pójdą z opiekunem moich dzieci. Co do braci H., towarzyszyów mojej podróży, o tych nic nie wiem, gdzie są, i zapewne się z nimi aż w pozaprzyszły rok zobaczę. W mieście, do którego jadę, pełno było teraz zyskownych spekulacyi na akcyach, co mi dało myśl, że gdybym miał co grosza w rękę, mógłbym ostrożnie go sobie przysporzyć i na wszelki przypadek mieć w kieszeni; pomyślcie o tem, ale tylko otwarcie ze mną i bez wszelkich ceremonii; chciałbym jakimkolwiek sposobem coś sobie zarobić, ale mozem się nie zdać do tego i z przedsięwzięciami mojami będzie jak z temi kwiatami, które pomimo to, że je podlewam, nie rosną.

Spieszę się ze skończeniem listu tego, aby się na dzisiejszą pocztę nie spóźnić i jeszcze o chwilę przedłużyć twojej niespokojności. Ale ty wiesz, droga, że ja się rozważnie prowadzę i wszelkich niebezpieczeństw z dziwną zręcznością unikam.

Mieliśmy tu na św. Jana piękne fety, iluminacje, fajerwerki, biegi konne i t. d., wszystko to Teofilowie na swoje oczy widzieli, więc ich opisywać nie będę, wreszcie wiecie, że ja nic nigdy nie opisuję, bo przekonany jestem, że to są słowa stracone, i niczego nie uczą; mówię ci więc tylko droga o zatrudnieniach moich, o nadziejach, z których jedne gasną, drugie się zapalają, o burzach serca mojego, a powinienbym ci mówić o wielkiem przywiązaniu mojem dla ciebie, o miłości, która się ciągle powiększa przez wdzięczność za wszystkie dobra, któremi mię obsypujesz, droga moja, czuwając nademną. Odebrałem twój listek i potrzebny mi był, boś mi się w jakimś śnie strasznym była zjawiała, i wstałem zimnym potem oblany, myśląc o tobie; list twój we dwa tygodnie po tym śnie odebrany, był mi wielką pociechą.

Adieu! Śnij mi się droga, ale w miłym śnie jakim, abym widział twarz twoją uśmiechającą się do mnie, i żeby mi to odświeżyło serce na długo.

Całuję cię droga moja i ściskam serdecznie Filów, a kartkę do Sylki odkładam na później i za jej zgryzliwość klócić się będę. Adieu! Twój kochający cię

Juliusz.

z niewydanych poezyi Mieczysława Romanowskiego.

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECINNYCH.

DLA SIOSTRY.

Zrodzon na grobach śród kajdan brzęku,
Śród szmeru wiejskich pacierzy,
Na mej piastunki pieściwem rękę,
Słuchałem życia rycerzy;
A opowiadał mi ojciec stary,
Matka mówiła najwcześniej,
Gdy płaczącego uczyła wiary,
A siostra spiewała pieśni.

Mówili dziecku prostemi słowy,
Spiewała rzewną tęsknotę,
A nie wiedzieli, że mu do głowy
Już płynie marzeń rój złoty;
Że kiedy uśnie, śnią mu się meze
Skrzydlaoci, niby anieli,
W zbrojach i hełmach, w dłoniach orężu,
Odziani w skrwawionej bieli,

I nie wiedzieli, kiedy zbudzone
Dziecko zapłacze bywało,
Że mu się snily bronie wzniesione,
Że padających widziało.
Utula z płaczu matka stroskana,
Cacka podaje do ręki;
Darmo! aż dziecku siostra kochana
Zanuci tęskne piosenki.

I uśnie dziecie, uśnie jak ptasze,
Gdy słowik w wieczór zanuci,
Aż mu się przysnią orly, pałasze,
I na łóżeczku się cuci.
Nad lożem ojca kord wisiał krzywy,
Ku niemu zwraca rączeta,
Na licach uśmiech igra mu żywy
I kleszcze w drobne rączeta.

O, sny me złote! o siostry pieśni!
Jakże mi tęskno za wami,
Czemuż tak często dziś mi się nie śni,
Że lecę między orłami?
Na mojej ziemi mnożą się groby,
Wróg, co raz silniej ucieka,
I wieje ciche pieśni żaloby,
A szabla jeszcze nie błyska.

Wywiedli konia z ojca stajenki,
A ojciec wsiadać mi każe,
„Weźno bułanka chłopcze do reki,
Jak się masz trzymać, pokażę“.
A matka z okna: „O, ja się boję;
On spadnie, on taki mały!“
„Trzymaj się chłopcze, konia we dwoje!
Ha, ha! patrz, jaki zuchwały!“

Potem mi ręką pogładzi lico,
A mnie tak w duszy gorąco,
Żebym chciał lecieć gdzieś błyskawicą
W dal jakąś dziką, świecąca.
Toż na najwyższą wyskoczę sosnę,
W dali utonę oczyma;
Marzę i płacę — w marzeniach rosne
Gdzieś w lecącego olbrzyma.

Przedemną jasny piorun się pali,
Szablicę trzymam we dłoni,
A za mną tłumem wojsko się wali,
I lecim po mogił błoni...
Coraz to dziksze wstają zjawiska,
Coraz groźniejsze postacie,
Już mi tysiące piorunów błyska...
Z marzeń mię budzi głos braci.

Tam do nauki matka ja woła!
Gdzie byłem, patrzą niemi,
A ja zeskoczę z smutkiem u czoła,
Z oczyma na pół łzawemi,
I słucham matki, jak opowiada,
A gdy nauka przeminie,
Biegnę do siostry, a ona rada
Nuci piosenkę chłopczynie.

Ogniste mary — senne krainy,
Jakże wy dzisiaj daleko —
Czyście wy tako duszę chłopczyny
Przysposabiały na spiekę?
Oh! a ty tęskna pieśni siostrzana,
Coś lzy chłopięcia koila,
Czyś ty mi w chwilaach mojego rana,
Że będę spiewał, wróżyła?

Bywajcie zdrowe, wspomnienia moje,
Pieśni siostrzana — bądź zdrowa!
Od bólu wdziałem na serce zbroje,
A tarcza pokryta głowa.
Może was nigdy nie ujrze więcej,
Pierwsze anioły mego żywota,
Wyście świecili duszy dziecięcej
Nad głową, jak tęcza złota.

Wyprawa na Mont Blanc.

Opisanie wyprawy na Mont Blanc, wydałoby się w dziejszych czasach bardzo oklepanem, gdyby do wielkiego zaiste osobistego uroku, jaki wyprawa ta może mieć dla turysty, nie były się jeszcze przyłączyły powody, godne zajęcia ogólnego. Dotąd szlachetny przykład p. de Saussure mało znalazł naśladowników, a badania naukowe, do których nas zachęca takie nieporównane obserwatorium jak Mont Blanc, są jeszcze dosyć rzadkie, tak, że może nie będzie zupełnie bezużyteczne sprawozdanie z wyprawy przedsięwziętej w celu ścisłego określenia niektórych żywiołów ważniejszych fizyki kuli ziemskiej, a szczególnie siły promieniowania słońca.

Ciepło, które słońce zsyła na ziemię, nie dostaje się do nas w całości; atmosfera pochłania znaczną jego część, mimo pozorowanej przezroczystości warstw gazu, który nas otacza. Jakkolwiek czynność ta, przeszkadzająca biegowi ciepła, jest nieunikniona, możemy przecież, wzniosłszy się do pewnej wysokości, uważać, jak się zmniejsza, a co najważniejsza, jak się zmniejsza w znanym nam stosunku. Porównanie wymiarów u stóp i na szczycie jednej i tej samej góry, pozwoli nam dokładnie wyrachować liczbę, jakabyśmy znaleźli na granicy atmosfery, a wynik będzie tem dokładniejszy, im większe będzie oddalenie prostopadłe dwóch poziomów, czyli dwóch stacyi. Któreż miejsce byłoby do tych badań odpowiedniejsze, jak Mont Blanc, najwyższy szczyt w Europie, do którego przecież przeniesienie instrumentów fizycznych nie jest niemożliwym?

I.

Przybyliśmy do Chamounix 12. sierpnia, lecz nie mogliśmy natychmiast wyruszyć w dalszą drogę, ponieważ obserwacje, które miałem na celu, wymagały właściwych warunków atmosferycznych. Jednakże te dni oczekiwania nie były stracone, używaliśmy ich na wycieczki potrzebne do wynalezienia odpowiedniej stacyi niższej, na której p. Margottet podjął się wymierzyć promieniowanie słońca, kiedy ja jednocześnie miałem je ściśle oznaczyć na szczycie. Nie zaniebdaliśmy powtórzyć ostatecznie naszych doświadczeń, w celu uczynienia ich najzupełniej jednakowemi.

W sobotę 14. sierpnia wieczorem, niebo było jeszcze cokolwiek chmurami okryte, lecz ufając barometrowi, który od kilku dni powoli szedł w górę, postanowiliśmy wyjechać nazajutrz rano.

O godzinie umówionej wyruszamy w drogę. Pan Jarige, p. Bigollot i ja, z czterema przewodnikami i trzema posługaczami do noszenia pakunków. Józef Simond z Argentières jest naszym głównym przewodnikiem. Przewodnik to doskonały, człowiek nogi pewnej, wielkiej odwagi i zimnej krwi doświadczonej. Wyjście na Mont Blanc trwa zwykle dwa dni, podróżni zazwyczaj zatrzymują się w Grands Mulets. Trzy godziny potrzeba, aby się dostać z Chamounix do chaty zwanej Pierre-Pointue (2.050 metrów), do której prowadzi droga wygodna dla mułów, wznosząca się pod lasami, na prawo lodowca Bossons. Po śniadaniu w Pierre-Pointue, dostajemy się do Moreiny, to jest do wału olbrzymiego, który lodowiec wznosił sam, jak gdyby się nim z tej strony chciał osłonić. W godzinę potem dochodzimy do Pierre-l'Echelle, tak zwanej od drabiny, której niegdyś używali przewodnicy, aby za jej pomocą przechodzić przez rozpadliny. Od tego punktu zapuszczamy się już w lody, któ-

rych już nie unikniemy, chyba tylko na chwilę w schronieniu w Grands Mulets.

Przejście z lodowca des Bossons zabiera prawie dwie godziny; lecz godziny mijają jak minuty, tak widok rozwijający się przed oczami jest rozmaity i wspaniały. Cudowne te zjawiska przyrody głębokie robią na duszę wrażenie, a świadomość, którą nam daje nauka, nie oziębia w niej uczucia poetycznego, przeciwnie, wzruszenie tem głębsze, ponieważ nie sam tylko instynkt jest rozbudzony. Nawet gdyśmy przywykli do widoku gór, przejmując nas podziwienie, patrząc na Séray *), na cyple lodowate w przeróżnych kształtach i czasami kolosalnych rozmiarów, na ogromne rozpadliny, których głębi oko zmierzyć nie zdoła. Lodowce des Bossons i Taconnay łączą się w górnej swej części; tam to szczególnie rzeka lodowata, która płynie z pochyłości Mont Blanc, rozchodząc się w dwa oddzielne ramiona, okazuje nam w niepojętym i zdumiewającym nieporządku krzyżujące się szczeliny i rozpadliny. Tam też rozpoczynają się trudności drogi, jednakowoż bez obawy niebezpieczeństwa dla turystów doświadczonych. Przeszedłszy lodowiec des Bossons, znajdujemy się w Grands Mulets (3050 metrów), które są jakby istne wyspy skaliste, wystające z tego morza lodowatego. Była to czwarta po południu, a więc można było jeszcze przedsięwziąć mierzenie użyteczne promieniowania słońca; lecz zaledwie instrumenta były postawiane na śniegu, gdy chmury słońce zaćmiły, nim jeszcze zdołaliśmy uchwycić jakiegokolwiek spostrzeżenie. Zawód ten nie był rzeczą tak wielkiej wagi; powracając, możemy powtórzyć w tem samym miejscu nasze doświadczenie. Dom przytułku umieszczony na pierwszej skale, dał nam schronienie, które nam się wydało prawie zbyt kowem, myśląc o ludziach odważnych, którzy pierwsi wydrapali się na Mont Blanc, Jaques Balmat, dr. Piccard i de Saussure. Z wąskiej terassy, która się ciągnie wzdłuż chaty, patrzaliśmy na widowisko przejmującej wspaniałości. Zachód słońca jest zwykle w górach zjawiskiem bardzo okazałym, lecz w Grands Mulets, na tym szczycie skały, gubiącej się w śniegach, wrażenie to jest porywające. Oko patrzy na stopniowe słabnięcie światła na każdym szczycie skał, które wznoszą się przed nami, dopóki nie zgasną w tej nocy, pochłaniającej powoli jeden za drugim. Cień się wznosi wzdłuż tego olbrzyma Alp, wierzchołek góry Mont Blanc błednieć zaczyna, śnieg, przed chwilą jeszcze opromieniony ogniem słońca, bladym, trupim obleka się cieniem, po życiu nastąpiła śmierć. Lecz wkrótce jasność spokojna masy te ponure znowu ożywiać zaczyna, a góra zmartwychwstaje, łagodnem światłem gwiazd wypogodzona.

Po kilku chwilach wypoczynku wstajemy o północy, o pierwszej wyruszamy dalej. Noc jasna, i chociaż księżyc jeszcze nie świeci, wkrótce gasimy latarnie, które przewodniczyły w naszym pochodzie. Dziwny to widok ludzi, idących wśród nocy przez śniegi, związanych z sobą liną, która stanowi jedyną ich ochronę, a oraz okropną między nimi solidarność. Z daleka widać jak błędne ogniki posuwające się na śniegu latarnie dwóch orszaków podróźnych, którzy przed nami wyruszyli z Grands Mulets, jedni o północy, a drudzy o w pół do pierwszej. Głęboką ciszę tych krain zlodowaciałych przerywa tylko huk lawin, które od czasu do czasu staczają się z łoskotem z Monts Maudits i spadają w przepaść za Grands Mulets, lecz dla których pierwsza część drogi byłaby szczególnie niebezpieczną.

Pochyłość bardzo stroma, lecz śnieg był dobry i postępowaliśmy szybkim krokiem. Przeszliśmy przez Petits Plateaux (3690 metrów), wąskie przejście, które ogromna lawina spadająca z Dôme du Gouter, była zamiotła kilka dni przedtem. Biada podróźnym, którzyby wtenczas byli na miejscu, w którym my się dzisiaj znajdujemy! Jeszcze jedna pochyłość bardzo przykra. Przewodnicy ciągle wyrębiają ścieżki w śniegu. Nakoniec dochodzimy do Grand Plateau (3930 metrów), szliśmy trzy godziny, nie odetchnawszy ani chwili, ponieważ nie można inaczej, nie chcąc być pogrzebanym pod jaką lawiną; zresztą zatrzymując się, łatwo można nogi odmrozić, a jak najłżejsza choroba czyni podobną podróż niezmiernie przykrą, doświadczył tego w sposób bar-

*) Tak nazywają ogromne lomy lodu, kształtu pryzmy, które podobne są do serów krajowych, zwanych Seray.